

OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁEM

WARSZAWA, ŚRODA 31 MAJA 1933 ROKU Nr. 39

PRZODMIYK

*Tygodnik ilustrowany
dla dzieci i młodzieży*



JAKIE CIEPŁE SŁONECZKO!

TAJEMNICA OGRÓDKA.

I.

Staś i Zosia siedzieli z ojcem w położonym przed ich domem ogródku. Był to bardzo nieduży, zaledwie kilkanaście kroków długi i tyleż kroków szeroki kwadrat, otoczony z trzech stron sztachetami, dotykającemi domu. Wzdłuż domu i parkanu biegly, okalając ogródek, dróżki, również jedna dróżka przecinała go ukośnie, jak to pokazano na rys. 1.

Dzieci narzekały, że jest im nudno i że nawet ogródek im się sprzyrzył.

— Więc już nic nowego niema w waszym ogródku? — spytał ojciec.

— Ależ naturalnie, tatusiu — odrzekł Staś. — Przecie oboje z Zosią w nim wyrosliśmy i spędziliśmy tyle lat, że znamy już każdą sztachetę w parkanie, każdy kamyk na dróżce, każdy kwiatek na grzędzie. Więc cóż jeszcze może być nowego?

— Owszem, dużo jeszcze może być nowego — powiedział ojciec, — trzeba tylko umieć to nowe dojrzeć. Powiem więc wam nową rzecz: ogródek wasz kryje w sobie pewną tajemnicę, której jeszcze nie znacie.

— Tajemnicę? — zawołały dzieci ze zdumieniem, spoglądając to na siebie, to na ojca. — Jakaż to tajemnica?

— Mówiliście — ciągnął dalej ojciec, — że traficie tu do każdego kąta z zamkniętymi oczami; a ja wam powiem, że nawet i z otwartymi oczami niezawsze traficie tam, dokąd zechcecie. Co wy na to?

— To niemożliwe! — zawołała Zosia.

— To są żarty — wyrzekł Staś, naśladując wujka, który stale używał tych słów.

— Więc dobrze, Stasiu. Rozwiąż takie zadanie: wyjdź z jakiego chcesz kąta w jakim chcesz kierunku i obejdź wszystkie ścieżki, nie pomijając żadnej. Warunki zadania są takie: 1) po każdej ścieżce wolno iść tylko jeden raz i 2) należy wrócić do kąta, z którego wyszedłeś. Rozumiesz?

— Rozumiem, przecież to takie proste!

— Więc zaczynaj.

Staś poszedł do kąta A (rys. 1) i stanął w nim.

— Pobiegnę wprost przed siebie — zawołał bez namysłu i popędził dróżką do B, stamtąd do C, potem do D i z powrotem do A.

— Złe! — zawołała Zosia. — Jeszcze nie przebiegłeś ukośnej dróżki.

— Prawda, zapomniałem — odrzekł Staś, — ale w tej chwili i ją przebiegnę.

I znów biegł z A do B, w B skręcił w ukośną dróżkę i pomknął do D, stamtąd zawrócił na C, a z C — na B. Ale przybiegłszy do B, musiał stanąć: miał przed sobą dwie dróżki i po każdej z nich już biegł, nie mógł więc wyjść niemi z B; przytem opuścił znów dróżkę pod domem A — D. Więc czempredziej przebiegł do A i rozpoczął swoją wędrówkę na nowo. Teraz już uważnie szedł z A do B, stamtąd do C, potem do D i... znów stanął.

— Dokąd ma iść dalej?

Jeżeli pójdzie do A, to już nie dostanie się na ukośną ścieżkę D — B, a jeżeli pójdzie do B, to nie będzie mógł dostać się na dróżkę D — A, o powrocie zatem do A nie będzie i mowy.

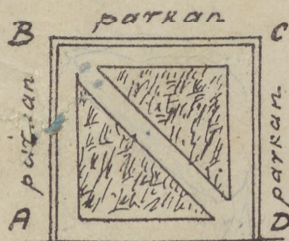
— To są czyste kpiny — zawołał zdumiony.

— A ja wiem, jak — zawołała Zosia, która przez cały czas z wielką uwagą przyglądała się podróży brata.

— Dobrze, spróbuj teraz ty — powiedział ojciec, — a Staś niech odpocznie przy mnie.

— Ale ja z innego kąta zacznę.

— Zaczynaj, z jakiego chcesz.





Ukłoniła się im Balja.

— Pani Baljo — powiedziała uprzejmie Michalinka, — to są moi goście.

Nim Balja zdołała odpowiedzieć, zawył wiatr za oknem ze śmiechem:

— Coście wy za goście?
Zaraz się wynoście!

Ale nikt tego warjata nie słuchał.

Ukłoniła się im Balja, wielka, tęga, godna gospodyni.

Aksamitka wskoczyła na okno. Bała się łapek zamoczyć. Bracia jamniki biegały po izbie. Kąty witały nosami. Wiewiórka wesoło skakała. Jakby była w salonie, a nie w pralni. Kanarek usiadł na ramieniu Michalinka i całował ją dziobem w usta.

— Niech nam pani co opowie, pani Baljo! — prosiła Michalinka.



— O ja jestem doświadczoną osobą! Z niejednego domu brudy prałam!

Zrobiło się cicho w pralni.

Tylko kawałek mydła penił się ze złości, bo nikt na niego nie patrzył.

— Jeśli chcecie

to opowiem wam o świecie — zatrzeszczała Balja.

Mimo świetnego wyglądu, miała suchoty. Rozsychała się!

Wszyscy byli bardzo ciekawi. Nie wychylali nigdy łebków za „Koci Pałac”.

Nie wiedzieli, co się dzieje na świecie.

Pani Balja wzięła się za boki. Poczęła opowiadać istne cuda. O pudełkach, co po ziemi całkiem same jeżdżą. O skrzynkach, co same pięknie grają. Niech się w nich tylko lampki zaświecą. O pudełkach, co jak kanarek w powietrzu latają. Prędzej nawet od naszego Pikusia.

— Ach, żeby to wszystko zobaczyć! — mruknęła kotka Aksamitka.

Zdawało się jej, że kielbasę przy nosku jej powiesili.

— Nie wolno wychodzić nam z „Pałacu”. Domu pustego musimy pilnować — warknęły obowiązkowe jamniki.

Tylko Pikuś nie był ciekaw. Gryzunia też nie tęskniła do miasta. Do lasu to inna rzecz! Ale do miasta?

Pikuś skubał pieszczotliwie włoski Michalinki. Były takie żółte, jak jego piórka.

IV. O CHŁOPCZYKU - CZAROWNIKU I NIEZWYKLEJ PODRÓŻY.

Pożegnali panią Balję i wracali do siebie. Michalinka szła z nimi. Aż tu na polu wiatr. Zły był, że go nie wpuścili do pralni. Rechotał, jakby miał czkawkę. Podrygiwał i wybijał pięściami szyby.

Już dawno złościł go Pikuś. Nic mu nigdy nie mógł zrobić. Do klatki nie miał dostępu.

Ale teraz chwycił go za kark zimną ręką. Potem podrzucił do góry, pokrepił z nim młynka... Jak dzieci bawią się w drobną kaszkę.

I rzucił z całej siły daleko!

Wszyscy stanęli przerażeni.

Wiatr śmiał się:

— Hau, hau, hau!

Wiatr kanarka zwiął!

Zaskomlały zgodnie pieski:

— Pi, pi, pi!

Gdzieś, Pikusiu, ty!?

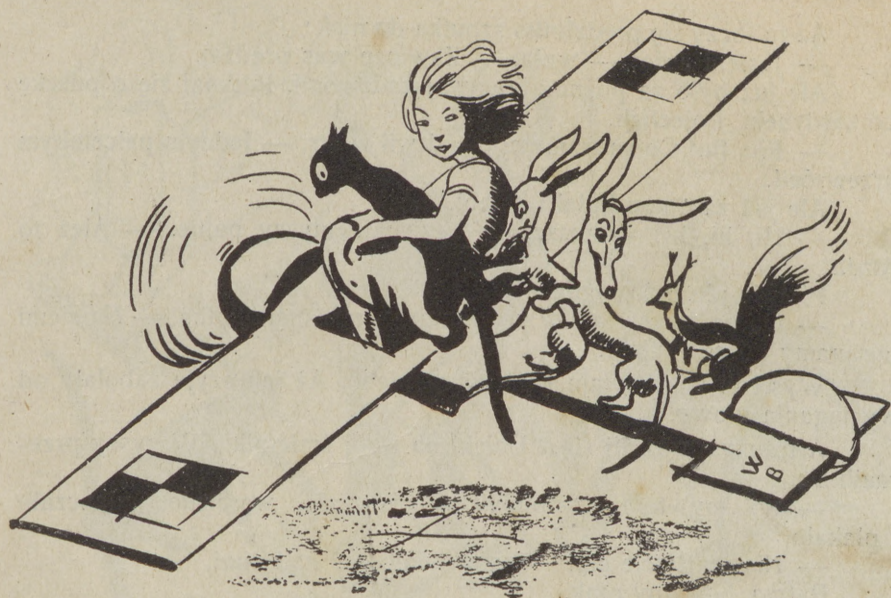
Pisnęła Gryzunia żałośnie:

— Mru, mru, mru...

Niema ptaszka tu.

Mruknęła złowieszco Aksamitka. Tak, jakby wymrukiwała mowę pogrzebową.

— Trzeba go szukać! — zdecydowała Michalinka - Mydlinka. — Może jest niedaleko?



Całe towarzystwo wpakowało się do samolotu.

Jamniki obwąchiwały trawę. Gryzunia skoczyła na drzewo i piśkiem nawoływała Pikusia. Aksamitka została przy dziewczynce.

Wrócili smutni. Kanarek zginął zapewne waleczną śmiercią. Nie było go nigdzie. Kotka otarła faszyną łzę łapą.

— To trudno! — westchnęła, ale i jej zrobiło się żal kanarka, gdy zobaczyła smutek Michalinki. Ta wyszeptwała w zamyśleniu:

— Znam chłopczyka czarownika.

On nam może dopomoże?

Na sąsiednim podwórzu siedział chłopiec. Włosy miał, jak garście wysypanego popiołu. Koszulkę, jak szmatę do podłogi. Wygrzebywał ze śmieci pudełka od zapalek. Związywał je kawałkiem nitki, wyprutej z koszulki. Pudełka wyglądały, jak czerwone wagoniki.

Michalinka opowiedziała mu o zmartwieniu.

Chłopczyk zamyślił się:

— Trzeba go szukać tramwajem — wyrzekł z powagą.

— Do tramwaju daleko! My nie mamy pieniędzy na bilet — westchnęła dziewczynka.

— Tutaj macie tramwaj! — powiedział chłopiec z dumą. — Właśnie w tej chwili wypuściłem go z fabryki. — I nagle pudełka niezmiernie urosły. Stały się wielkie, jak prawdziwy tramwaj.

Michalinka wsiadła do wagonu. Na kolana wzięła Aksamitkę i wieiórkę.

Ale że to był przedział dla kobiet, więc jamniki musiały wsiąść do innego wagonu.

Aż tu toczy się przedziutko szpulka do nici.

— Jestem auto! — woła. — Zawiozę was przedzej.

Ale już było za późno. Tramwaj zadzwonił. Potknął się o puszkę od sardynek. Pojechali.

— Fiu, fiu! Co za tramwaj! — drwił wiatr. — Jednym palcembym przewrócił.

Ale już za długo hulał i osłabł.

— Hi, hi, hi! — piszczały wszystkie myszy polne. — Ależ to jazda!

Pikusia nie było nigdzie.

— On na pewno lata w powietrzu — mruknęła kotka. — Na ziemi nie mamy go co szukać!

Wysiedli z tramwaju i patrzą w niebo. Aż ich szyje zaboląły od wyciągania głowy.

A tramwaj obraził się. Uciekł na swój śmietnik. Wszyscy prze-rzili się.

— Co my teraz zrobimy? — piszczało, warczało, miauczało i płakało.

— Nie martwcie się! — zafurgotało coś nad nimi.

Patrz... dziwny ptak.

Skrzydła ma srebrne. Na nich czerwono-białą kokardkę.

— Samolot! — krzyknęli wszyscy razem. Znali go dobrze. Wi-dzieli nieraz z balkonu, jak bujał w powietrzu.

Ale to nie był ten sam. To zapewne jego brat. Ten niedawno do-piero wyfrunął ze sklepu z zabawkami.

— Wsiądźcie do mnie! — zaprasza serdecznie. — Już znudziło mi się latać bez pasażerów. Dostyc mam lotów po podwórzu i pokoju. Kupił mię mały Wojtuś od pana doktora. Uciekłem mu prędko.

Całe towarzystwo wpakowało się do samolotu.

Dobrze im było wszystkim razem. Tylko za Pikusiem tęskno.

Samolot kichnął z radości. Rozpędził się i latał po ziemi.

Potem szarpnął się i latał w powietrzu.

Ziemia taka mała, jak zabawki dziecinne. Koleje, auta, tramwaje mniejsze, niż pudełka od zapalek.

Kotkę aż łeb rozboleł ze strachu. Jamniki rozchorowały się na żo-ładek, Gryzunia popiskiwała cichutko. A Michalince-Mydlince zimno było.

Zlitował się nad nią obłok i okrył swoim futerkiem. Wyglądał jak puszysty biały kożuszek.

Gwiazdki poczęły świecić. Łały miód do buzi dziewczynki.

Aksamitka oblizywała się przez dwie godziny. Nawet pieski wy-zdrowiały.

Przelecieli całą Polskę, a kanarka nie było!

— Już trzeba wracać do domu — terkoce samolot, — benzyna się kończy.



A tańce były nadzwyczajne.

V. WIELKI BAL W PRALNI.

Wylądowali na trawnik przed domem.

Koci Pałac stał tak, jak codzień. Tylko uśmiechnął się wszystkimi oknami na ich widok.

Patrzą, a tu Pikuś w klatce siedzi i ziarenka dziobie.

— A ty niegodziwcze! Gdzieś ty był tyle czasu!? — warknęły jamniki i kotka.

Ale udawały tylko gniew. Już nie umiały się nawet gniewać.

Po podróży z Mydlinką zupełnie się zmieniły. I Pikusia inaczej kochać zaczęły. Bo najwięcej kocha się tego, kogo się utraci.

Michalinka ucałowała ptaszka w główkę i mówi:

— Całe szczęście, że jesteś. Cały wspaniały „Koci Pałac” byłby smutny i nic wart bez ciebie. — A wszystkie zwierzęta potaknęły zgodnie.

— Wiatr rzucał mną, a potem cisnął na balkon. Widziałem, że wybieracie się w jakąś podróż. Wołałem, byście wzięli mię ze sobą. Ale nie słyszeliście.

Z tej radości był ogromny bal w pralni. Zaproszono chłopczyka-czarownika z sąsiedniego śmietnika. Przyjęcie było okazałe.

Kotka przyniosła szklanekę mleka. Psy porwały cały salceson. Gryzunia uszłała trzy kostki cukru i pięć orzechów. Pikuś przyniósł pudełko ziarenek.

Orkiestra była znakomita. Mydło waliło w Balję jak w bęben. Pogrzebacz rozbił w zapale nos piecowi.

A tańce były nadzwyczajne.

W pierwszą parę Aksamitka z Pikusiem. Gryzunia z Kłapouszkiem i Krzywonożkiem we troje. A Mydlinka - Michalinka z chłopczykiem - czarownikiem. Potem się wszyscy całowali i przeprasali.

— Wybacz moje dawne niechęci — powiedziała kotka do wieiórki i polizła ją w ogonek.

Ukloniły się sobie głęboko.

Wszyscy się pokochali, bo ich tego nauczyła mała Mydlinka z suferyny. Cały, „Koci Pałac” był wesoły i szczęśliwy. Zwierzęta uczyły praktyczności Mydlinkę i wychowały ją na znakomitą gospodynię. Chłopiec ze śmietnika został sławnym inżynierem. Miał własny samolot i własne auto.

Pobrali się z Michalinką-Mydlinką i kupili „Koci Pałac”.

Irena Szczepańska.

„CHCĘ ZADRŻENIA SERC”...

„Listki na brzozech waszych zadrżą, bo wiatr poczują, ale stare, zgrzybiałe drzewa długo stać będą, nie pokazując żadnego wstrząśnienia. Tego szmeru listków, tego zadrżenia serc chcę... Od tych, co czują, chcę, aby mocniej i głębiej poczuli...”

Juljusz Słowacki.

List do rodziny z roku 1843-go.

Jest wiele dzieci nawet malutkich, które nie znoszą widoku łez. Zaraz ich buzie układają się w rzewną podkówkę. Znałam bardzo dzielnego chłopczyka, nie był już wcale mały, o nie! Miał dziesięć lat. I nie wytrzymał, gdy jego trzyletnia siostra robiła podkówkę. Na ten żalostny widok porzucił zabawę i, walcząc ze łzami, usiłował — jak się dało — pocieszać maleństwo.

Nazywamy to współczuciem, jeśli człowiek dzieli ból innego człowieka, jeśli umie wyobrazić sobie nie swoją przykrość. Gdy synka ząb boli, mama nie czuje bólu zęba, ale wyobraża sobie jego cierpienie i współczuje ze swem biedactwem.

Łatwo jest zdobyć się na współczucie dla najbliższych, kochanych, gdy się widzi ich ból, lub smutek. Wtedy to serce nasze jest jak listek brzozowy, drży od cierpienia kochanych istot, gniewa się od ciężaru ich trosk.

I kiedyż to jeszcze wrzuszamy się nieswoją niedolą? Gdy czytamy żywo i pięknie napisaną książkę. Ile to razy „głupie ły” wkradały się pod powiekę, gdy się czytało o Stasiu i Nel, o dziecku przed sądem, o chorym Nemeckzu, o Anielce... Wzruszenie, czułość zjawiają się wtenczas tak łatwo, przejmują tak głęboko!

Tak, tak; pisarz - poeta to czarodziej. Z serca ludzkiego czyni listek brzozowy. Ono to, tylekroć obojętne na wszędzieobecne smutki,

nagle staje się czujniejsze i przez jedną chwilę rozumie lepiej swoich bliźnich. Czuje mocniej, bo sobie lepiej wyobraża cierpienie.

Ale nad wyobraźnią swoją można przecież popracować samodzielnie, bez pomocy powieści. Słowacki w tym samym liście o kilka wierszy dalej mówi: „chcę, abyście siebie wypracowali na takich, jakich Bóg żąda” Wypracowali! Więc pewnie nie myśli o uczuciach łatwych, które ogarniają serce wbrew jego czujności i przyspieszają mile jego bicie! O ileż lepiej byłoby na świecie, gdyby ludzie umieli sobie sami dobrze wyobrazić dolę innych ludzi! Żeby ten, co nie pracuje, wyobrażał trud pracy; ten, co jest wolny, umiał pojąć niewolę; ten, co jest zdrowy — cierpienia chorego! Ale wyobraźnie ludzkie nie są jak listki brzozone, o nie! Są jak stare zgrzybiałe drzewa, które nie pokazują żadnego wstrząśnienia, choć wichur szaleje. Albo są jak płochliwe ptaki, co z pośród drżących liści uciekają, uciekają jak najdalej!...

Gdy w dzisiejszym gwarnym, błyszczącym, rozpędzonym świecie ciągle słyszymy o bezrobotnych, o pozbawionych dachu, o głodnych, gdy powtarzają to gazety, nalepki, zaczynamy się do tego przyzwyczajać i obojętniejemy. Ale ktoś tam się stara, skoro o tem piszą, ktoś ma serce, jak listek brzozone, ktoś zabiega niestrudzenie i budzi te serca, do listków niepodobne. Bo za każdym czynem, za instytucją do zwalczania raka, za biblioteką w szpitalu, za rozpoczęciem składek na dobry cel jest czyjeś serce czułe, jak liść na wietrze. Te serca się nie martwią, że bólu całego świata i tak nie podźwigną. Nie mają czasu.

Człowiek za mało żywo odczuwa dolę i pracę innego człowieka. Gdyby ją umiał odczuć, jak swoją, mocno i głęboko, jak chce poeta, a pozostał przy tej wrażliwości dzielnym i odważnym, byłby takim, jakiego „Bóg żąda”. Wyszedłby naprzeciwko stugłowego smoka — cierpienia ludzkiego, jak królewicz, jak Krakus z legendy. A życie już takie jest, że tym królewiczem może się stać nawet każde dziecko i to na każdym miejscu i o każdej porze...

St. Szuchowa.

K O Ł Y S A N K A.

*Cichuteńko, za oknami,
deszczyk pada kropelkami,
słychać zdala rechot żab...
Kap, kap...*

*I ty, wietrze, o okienko
bij skrzydłami, szum piosenką,
kołysankę dzieciom graj!
Baj, baj...*

*Za kropelką kropla goni
i o szyby dzwoni, dzwoni...
— Płyń, kropelko srebrna, płyn!
Dzyń, dzyń...*

*Choć się skarży noc szarugą,
minie deszczyk niezadługo.
Zmilknij, nim nadejdzie świt...
Cyt... cyt...*

HELENA DUNINÓWNA.

S K A R G I.

Siadła sroczka na płócie i główką kiwa.

— Ach, ja biedna, ach ja nieszczęśliwa! Mam ja gniazdko, a w gniazdku jajeczka, a wakacje tuż tuż niedaleczko!

Usłyszała te skargi czarna wrona, więc się pyta oburzona, zdziwiona:

— Czego płaczesz, pstra sroko, zawodzisz? Cóż wakacje mogą ciebie obchodzić?...

Zaszumiały trawy dookoła:

— Na wakacje zamkną wszystkie szkoły, będą dzieci biegać na swobodzie hen, po lesie, po polu, po ogrodzie, będą deptać po zielonych trawach dla igraszki, dla pustej zabawy! Będą zrywać bez litości kwiatki: ostróżki, kąkole, bławatki, a zerwane — świeże, pachnące rzucą potem gdziekolwiek na słońce, aż uwiędną biedne w zapomnieniu, tęskniąc cicho za wodą, za cieniem.

— Tak, o, tak — zaszeptały cichutko modrookie, śliczne niezabudki.

— Jaka szkoda! jaki żal! jak to smutno, że bywają dzieci okrutne!

— Tak, tak! — szeleściły, szumiały młode wierzy i brzoźki białe.

— Tak, — wzdychały leszczyny i klony — nie znasz chyba dzieci, pani wrono, skoro nie wiesz i o takie rzeczy pytasz. Niedobre są dzieci i kwita.

— Oblamują gałęzie na drzewach — cichuteńko las cały zaśpiewał, — wyszukują gniazd w zaroślach i gajach, z gniazd jajeczka ptakom wybierają.

— Oj! — zaczął cichutko cytrynek — tak się boję chłopców i dziewczynek!

— Ach! — admirał się nagle rozełkał — będą brali mię znów za skrzydełka! Zniszczą moje barwne ubranie dziecinnemi, małemi rączkami!

Rozrozumiał się las i pole:

— Doloż nasza, ty niedolo! Potoż było nam na wiosnę śpiewać, kwitnąć, żyć i rosnać, poto lataśmy czekali, wyglądali, przyzywali kwiatów wonią, drzew zielenią, poto nas karmiłaś, ziemi, by nas teraz dzieci małe wyniszczwały, marnowały?

— Fiu! fiu! — zagwizdały szpaki — nie dadzą się wam we znaki nasze słodkie z szkół dzieciaki! Już my dobrze wiemy o tem, że serduszka mają złote! Spójrzcie tu na te jabłonki, jakie mamy śliczne domki! Te skrzyneczki, te sosnowe mały chłopiec sam zmajstrował. Nucąc piosnki, deski mierzył. Strugał, zbijał, jak należy i rozwieszał po ogrodzie, ku szpakowej, ku wygodzie!

— Ćwierk, ćwierk, — wróble zaczęły — bez pomocy dzieci małych zginały nasz wróblí ród przez zimowy głód i chłód! Niech powiedzą sikory bogate i modre, czy nie były dzieci dla nas szczodre! Zięba samczyk, trznadło i śmieciuszki jadły z nami chleba okruszki, a ta czarna, ogoniasta wrona skakała, latała oburzona: — Kra, kra, — krakała, prosiła: — a mnie nie dasz, dziecinko miła?

— Czegoż ci, czarna wronko, potrzeba? Czy kartofli, czy sera, czy chleba?

— Oj, czy chleba, czy sera, wszystko jedno, bom od rana nic nie jadła dziś biedna.

— Prawda! Jak mi życie miłe, dzieci szkolne nas zimą karmiły. Karmiły, ziarno sypały, a prosiły! A jak zapewniały: — Hej, ptaszęta, małe niebożęta! Będziem o was całą zimę pamiętać!

Uśmiechnęło się na to złote słońce, po błękitnym niebie chodzące i rzuciło snop przejaśnionych promieni na pachnącą ukwieconą ziemię. A wiatr cichy słodko zaśpiewał na zielonych, na szumiących drzewach:

— Każde dziecko, w każdej polskiej szkole kocha lasy, ogrody i pola. Żadnej tutaj nie zrobią wam szkody. Mają koła miłośników przyrody! Nie bój się, motylku — admiralu, nikt nie dotknie twych skrzydełek wcale! Bądź spokojna, sroczko krzykliwa, małą główką w trwodze nie kiwaj!

— Tak, tak! — każdy promyk słońca wołał. — Niech nam żyje nasza polska szkoła!

Janina Majewska.



CHODZIŁ KSIĘŻYC...

Chodził księżyc po niebie
wieczorem, wieczorem
i zobaczył siebie
w jeziorze za borem.
— Czemuż to jestem taki
rumiany, czerwony?
Muszę chyba być chory,

chory, przeziębiony?
Trzeba mi wziąć na poty,
trzeba mi z mgieł koszuli,
z mgieł koszuli, kapoty.
Jak się dobrze otulę,
zniknie rumieniec złoty!
J. MAJEWSKA.

LETNIA NOC.

Cichuteńka noc czerwcową
snuje, snuje cudne sny...
Pachną kwiaty, krzewy, drzewa,
księżyc srebrnym światłem mży.

Lekki wietrzyk cicho wieje,
cichuteńko świerszczyk gra...
Jakieś cudne, dziwne dzieje
marzą nam się w słodkich snach.
Z. NIEDZIELSKA.

MUSZKI.

Muszki, muszki, czy słyszycie?
Chcemy stać się wami,
by tak chodzić po suficie
do góry nogami.
Mknąć nad ziemią, gdy potrzeba,
niedościgłym lotem

i pofrunąć aż do nieba,
gdy się ma ochotę.
I tak bujać po błękitach,
hen — aż pod chmurami!
Muszki, muszki, czy słyszycie?
Zmieńcie wy się z nami!
J. GILLOWA.

O JUHASKIEJ GROCIE W GIEWONCIE.

Napisał T. Malicki.

Nad doliną zakopiańską trwa rycerz uśpiony — Giewont. Legł nawznak, złożył utrudzone ręce na piersi, wsparł się stopami w ciemny bór, cudna głowa zapatrzona w niebo otwarte. Tak usnął i tak skamieniał... ale o tem inną Wam opowiem bajkę. Teraz chcę Wam opowiedzieć taką smutną prawdeczkę o Franku z Dzianisza, o jego krótkiem życiu i śmierci. Więc posłuchajcie:

To było jeszcze bardzo dawno temu, jeszcze podhalańskie wsie otaczała głusza lasów, jeszcze mało kto wiedział, że tam za borami w głębokich rowach dolin leżą wsie, których chaty pod wielką czapą dachu tulą się do jesionów i jaworów.

Mało kto wiedział, jakie tam wonie żywiczne nasycają kryształowe powietrze, jakie tam hale zielone i smreki śmigłe i turnie niebosiężne. Mało kto widział jeziora głębokie i ciche jak sen, drzemiące w pogodzie i ciszy wiekuistej. Na Podtatrzu, w dolinach i garbach Gubałówki, rozłożyły się osiedla. Drewniane domy, z szerokich świerkowych belek, z okienkami dla drożyzny szkła zalepionymi „błoną”, pęcherzem, z odrzwiami, górą krągłemi, tuliły się do prastarych, mocnych drzew, przed potężnymi wichurami jesieni i przedwiośnia. Tonęły w ogromnych śniegach zimy, zasypane od dachu do proga nieskalanym puchem, tak, że do obór trzeba było nieraz przekopywać głębokie tunele, aby bydło nie ginęło z głodu. W taki czas umierało zupełnie życie osiedla. W dzień — królowała Złota Pogoda, w nocy straszny, niepojęty Biały Mróz.

W taką noc przyszedł na świat Franuś. Nikt się tym przybytkiem nie ucieszył — nawet matka. Pomyślcie — nawet matka! Bo matka wiedziała i przeczuwała lękliwem sercem, że kiedy oto odezwało się życie, weszła do chaty Nędza. Poprzedziła ją przeciw Śmierć. Tuż przed śniegami, przyniesiono jej do chaty męża, którego zgniotła na wyrębie jodła. I kiedy brakło żywiciela, z izby, z czarnej izby uciekła ostatnia radość i ostatnia nadzieja. Zostało jeno borykanie się z głodem, worek gruli ¹⁾ w sklepie ²⁾, jarca ³⁾ na moskalika ⁴⁾ i bryjki ⁵⁾ nieco. A i tego ubywało. Dlatego nie cieszyła się matka Frankiem, nie żeby jej było gruli i jarca żal, jeno macierzyńskim sercem przeczuwała, na jaką to Frankowi wyjdzie dolę. Ale Franuś się tem nie kłopotał. Leżał sobie w skrzynce, zawieszanej na sznurze u sozrębu ⁶⁾ i niewidzącemi oczyma błędził po czarnym pułapie. Kiedy był głodny, — krzyczał, kiedy był syty, spał. — Rośnie! — mówiły sąsiadki. — We śnie rośnie! — Później nauczył się ruszać palcami i zabawiał się niemi od rana. Matka u małego okienka przędała cudzy len. Czasami nasłuchiwała, bo się jej zdawało, że idzie mąż. Jeszcze nie nawykła do śmierci. Nocami na nędz-

¹⁾ ziemniaków. ²⁾ piwnicy. ³⁾ owsa. ⁴⁾ chleba owsianego. ⁵⁾ zupa z mąką owsianą. ⁶⁾ główna belka, wiążąca strop, pięknie rzeźbiona.



...stary Kośla obchodził raz na miesiąc izby...

nej pryczy, przy ledwo tlejącem na nalepie ognisku, które ani ciemności nie rozpraszało, ani nie grzało, tuliła trwożnie do siebie Franka.

Dziecko było jeszcze nie chrzczone. Niechrzczone dziecko strach trzymać w izbie. Ochrzciała je wprawdzie z wody, ale to nie to. A do kościoła — hale „kieli świat”⁷⁾). Kiedy dziecko niechrzczone w chałupie, to wieczorem z izby wyjrzeć „do pola” strach. Za oknami płacze się wilkołak. Do szyb cisną się malutkie dziwożonki, które rade cudze dzieci kradną. Małe to a zwinne, jak łasica. Ani się opatrzyć, kiedy się do izby wciśnie, drzwiami czy kominem — i kołyska pusta.

Trzeba przecież temu jakoś zaradzić. Kiedy się pogoda ustaliła i śniegi stwardniały, przyszedł do matki stary Kuba Kośla Krzesławity⁸⁾). Pochwalił Pana Boga, „pozdrówkał piknie”, zdjął „tórbke” z pleców a miał ich dwie. Jedna była pełna, druga pusta. W te czasy z chrztem to się robiło tak: stary Kośla obchodził raz na miesiąc izby w zimie, i gdzie się co urodziło, do chrztu, do Zakopanego nosił. Dzieci, owinięte w ciepłe płachty, do torby juhaskiej chował, w zanadrzu miał flaszkę ciepłego mleka, owiniętą w gałgany. Przebił się z tym wiotkim ciężarem przez zasypane lasy i polany, gwarząc całą drogę z samym sobą. Dziwne to były pogwarki Kośli. Ktoby się im przysłuchał, nadziwiłby się

¹⁾ bardzo daleko. ⁸⁾ Oprócz nazwisk górale mają przydomki. Krzesławity znaczy pochylony — krzyw.

im niemało. Prawił Kośla do siebie: — Ej wiera, ze tyz wiera ⁹⁾, co ta komu z tego zywoybicia? Naznoi ¹⁰⁾ sie cłek co cud. Od rana do wieczora. Cy to dziwka cy chłopiec. Ta w lawej ¹¹⁾ tórbce siwe ocka mo! Ckoj ¹²⁾! Zapłaces ty tymi ockami! Kie ci zycie za pazdury ¹³⁾ wlezie. Ej wiera kiel to śnig! Ten ta w prawej brzejsy! ¹⁴⁾ Brzejsc! Brzejsc! Nieskrzeńce! E to dopiro zacontek. Nabrzejsy się dość, tfu ¹⁵⁾ ci braknie. Pikny cas. Zimno bo zimno, ale słonecko świeci.

Oglądnał się Kośla Krzesławity za siebie: — Ci to ja kwarzem, ci moja Werońko? — Bo stary Kośla przez 50 lat pożycia nawykł do swej żony Weronki tak, że kiedy sam z sobą rozmawiał, to na dwa głosy. Jak źle, jak przyganiać — no to on. Jak dobrze, jak chwalić, no — to Weronka.

W tej chwili obie torby zaniosły się płaczem. — Cichoście, edy cichoście. Na Butorów nie pec ¹⁶⁾, to wom dam mlika.

Była po drodze na Butorowie izba, w której siedział stary znajomy Kośli, Galarowski. Tamo Kośla w swem urzędowaniu zawsze robił przystanek, ugwarzył się dosyta, a tymczasem stara Galarowska przewijała dzieci, podgrzewała mleko i karmiła. Dobrze, kiedy Kośla niósł chłopca i dziewczynkę. Wtedy wiedział czyje, które. Gorzej, kiedy chłopców albo dziewczyny. Wtedy się bardzo trapił i upominał Galarowską: — Ino dejcie poziór ¹⁷⁾, krzesna matko, cobyście nie pomisali. Ta z lawy tórbki to Jagniszki młynarzowy, ta z prawy Budzów. Uwozojciez, cobyście nie zmylili. E pote toby trza ku Salamonu ¹⁸⁾.

Z Butorowa w dół ku Zakopanemu już niedaleko. Choć tam Kośla i stary, ale dobrze przed południem był w Zakopanem przy kościele. Wbił ciupagę w zrąb zakrystji, tórbki na ciupadze powiesił i poszedł do organisty. Kiedy organista zobaczył Koślę, w te pędy leciał do Jegomości. Tak miał przykazane. Kośli się zdawało, że go Jegomość bardzo „weneruje” ¹⁹⁾ a to chodziło o to, żeby chrzest jak najprędzej odbyć, żeby dzieci nie zamarzyły, żeby Kośla przed nocą do domu wrócił. Długo to nie trwało. Kiedy Kośla z kościoła wyszedł, niósł w torbkach Franciszka i Agnieszkę. Ze tam po drodze do karczmy trafił, to nic, bo chłop był w urzędowaniu czujny, a dzieci trzeba było nakarmić. Ze się tam trochę zataczał, to jeno do Uboczy, bo go gorące zmroczyło powietrze w karczemnej izbie. Od Uboczy, gdzie teraz kościół Jezuitów, szedł prosto pod górę a „wartko” ²⁰⁾. Różowił się świat wczesnym zachodem słońca. Mróz tężał. Kwilenie i gaworzenie w torbie stawało się coraz cichsze. Od nawyku jeno stary Kośla mruczał: — Nie brzejsc, nie brzejsc, dyś przecie krześcijanin. Żle ci to?

Wieczorem Franek wisiał w swem pudle u sozrębu. Co tam wiele opowiadać! Na drugą zimę Franuś po izbie „na brzuku” się tulał, na trzecią na nogach, a na szóstą to go już wogóle w izbie nie było, chyba tylko na noc. Nazywało się, że gęsi gromadzkich „na krzypiopie” ²¹⁾ pilnuje

⁹⁾ ej prawda! prawda! (westchnienie). ¹⁰⁾ umęczy. ¹¹⁾ lewej. ¹²⁾ poczekaj. ¹³⁾ paznokcie. ¹⁴⁾ wrzeszczy. ¹⁵⁾ tchu. ¹⁶⁾ niedaleko. ¹⁷⁾ uważajcie. ¹⁸⁾ zdać się na sąd Salomona. ¹⁹⁾ szanuje. ²⁰⁾ szybko. ²¹⁾ przykopie.



Siadali sobie na ziemi kręgiem.

z innymi chłopczyskami. Ale to tak tylko, żeby aby, „dy przecie ptoki nie ucieknom, zawdy się najdom”. A oni musieli zrobić młyn. Młyn godny, taki jak u Kuby na traczu. Z kołem, z gatrem. Do tego Franuś był jedyny. Rzezał „składakiem”²²⁾, co jeno od niego chcieli i co mu dziecięca podsuwała fantazja.

W zimie zachodził na osiedle wędrowny nauczyciel. Mieszkał u przysiężnego Topora, bo ten największą miał izbę i „rad dzieci u siebie widział”. Był wdowcem. Tam to schodziły się dzieciiska na naukę. Izba była duża, ale gdziebyś tam w izbie wszystkie dzieci zmieścił, jak trzeba? Toć przecie tyle tego „jak grzybów” mawiał stary Topór. Rozsiadła się ta brać na ziemi. Chłopcy po lewej, dziewczęta po prawej. Przychodzili prawie o świcie, kiedy słonko zaledwie wychodziło z za Murania. Wychodzili na odwieczerz. Pootulani w płachty, łoktuski²³⁾, w stare ojcowskie gunie, który biedniejszy, nierzadko w matczyną kieckę. W rękę miał każdy chusteczkę z jedzeniem, w zanadru książkę. Każdy inną, a każda książka do modlenia. Siadali sobie na ziemi kręgiem. Przy piecu nauczyciel, na krętym korzeniu świerkowym w kształt kręśła. Okulary miał wielkie w cynowej oprawie, na garbie nosa owinięte włóczką. Palił fajkę z krętym „piporasem” i łałał kierpce. Na kominie palił się ogień rubinowy, przy nim krzątała się Weronika, służka u Topora, i warzyła strawę. Pod kominem, za przegrodą w grubie beczały małe jagnięta.

A dzieci dukały „ze ślabizoka”, z książeczek do modlenia a najwięcej z kantyczek. Jak ten dobry, stary nauczyciel wędrowny potrafił nauczyć czytać tę czeredę, Bogu jedynie i jemu samemu wiadomo. A przecież w drugą zimę tej nauki Franek ciągnął ze swojej starej kantyczki, co po ojcu, na półce pod obrazami na szkle została:

— Be-de Cie wiel-bił, mój Pa-nie,
pó-ki mnie na świe-cie sta-nie.

Kiedy nadchodziło południe, nauczyciel robił przerwę. Wtedy dopiero w izbie robił się „mąt”²⁴⁾. Najpierw trzeba było rozwiązać chusteczkę i wydobyć jadło. Ten miał „moskalicka” i „oscypka”²⁵⁾ kawałek, owa trzy jajka i chlebuś, tamten grule pieczone bez soli, niektóry nawet i masła odrobinę albo bryndzę. Trafiały się u niektórego i gruszki suszone w popiele. Wyglądała ta izba, jak kościelne podwórze w wielką sobotę. Nauczyciel przeciskał się przez tę izbę rozgadaną i dzielił się z dziećmi jadłem. Takie było jego prawo, takie wynagrodzenie. Oprócz tego z każdej chałupy pobierał przez przysiężnego cztery grajca-ry. Wdowy nie płaciły nic. To też i Franuś nie tylko, że nie płacił, ale i jedzenia prawie, że nie przynosił. Czasem grule, czasem — głód. Ale umiał sobie rady dawać. Dzielili się z nim chętnie wszyscy na zamianę, za te jego rzezane cudeńka.

Czasami w izbie tej było dzieciom, jak w niebie. Nauczyciel „ozpowiadał”. Człek był światowy, przedeptał jako wojak i jako wędrowny,

²²⁾ składak — tani nożyk składany. ²³⁾ Iniane chusty, służące do dźwignania koszy na plecach. ²⁴⁾ zamieszanie. ²⁵⁾ osczypek — owczy serek, wędzony w dymie.

świata kraj. Nie było końca wtedy pytaniom: Jak to? Co to? Naco? Bez co?

Wojackie swoje przeżycia, pół prawdy, pół legendy, przydymione pyłem lat — zdarzenia srogie i surowe, jak życie żołnierskie. W izbie była cisza, ba, mogło nawet Weronice „mliko skipieć, nie dbała o nic, kiedy nauczyciel gwarzył. Przez małe okienko padała na jego sępią zoraną twarz poświata od śniegu — liljowa, okulary miał zesunięte na czoło, a mętne jak szybki oczy patrzyły w daleką klechdę życia.

Albo innym razem opowiadał bajdy, stare jak świat, pachnące miodem dzieciństwa. — O kaczce, co złote jaja nosi w Kasprowej grocie. O kowalu Fakli, co konie rycerzom uśpionym w grocie Wodnej pod Pisaną w Kościeliskiej podkuwał, o dziwożonkach, o wilkołaku, i strzygach. Zimny dreszcz lęku i ciekawości przyrastał dzieciom do grzbietu. I w taki odwieczny padło nieśmiałe Frankowe pytanie:

— Wojciechu! Ci mi sie tyz da Matka Boska widzieć abo Poniezus abo śwenty Pietrzpawel?

— A bez co? — zapytał nauczyciel.

— E bobyk ik kciał wyrzezać piknie w jaworowem drzewie.

— E, dziecie — odpowiedział nauczyciel, — kieby się Oni sitkiem dawali tak widzieć, jakby fto fciol, bełoby źle.

— A ci sie widzieć nie dajom?

— E dajom! Bez coz nie! Ale kie sie juz komu dajom uwidzieć, to w takim kwile, ze sie zaraz pote cłowiekowi oci zamknom na wieki. Coby mu beło lzej umirać — haj!

Ale kie juz fces ik piknie wyrzezać, chibaj²⁶⁾ ze dołu w Zokopane, ku kościołu. Widziołek tam i Pombócka i Maryjom, malowanyk piknie na płachcie. To sie naucys.

Nie umiał Franuś odpowiedzieć, że mu nie o to szło. Nie o to, co już inni zrobili, ale o to, żeby zrobić tak, jak jest, sprawiedliwie. Bo kiedy Franuś robił młyn, to był młyn jak się patrzy. Ze wszystkim. Kiedy robił chałupę, choć to była minjatura, to każdy poznał. „E dy to przecie Kubowa chałupa”. A tu jak? „Przecie Matka Boska to Matka Boska, jedna! Nimas juz drugi”. Nieraz to się Franuś nocami modlił: „E dy sie mi pokaz raz jeden, razicek! Cobyk Cię ino uwidział. Te twarzikie świentom”.

Teraz, kiedy usłyszał od nauczyciela, że sie czasem i pokaże, ale w ostatniej godzinie życia człowieka, zrobiło mu się smutno. Dziecinne jego marzenie zgasło. Nie zobaczy już nigdy, a kiedy zobaczy, będzie za późno.

Od tej pory Franek posmutniał. Rzezał swoje młyny, chałupy, i ule, ale to wszystko było ciągle takie same, choć inne. Naprzykrzał się matce, żeby go ku juhasom dała za honielnika²⁷⁾. Ciasno mu było w chałupie i osiedlu.

Gdy mu szło na jedenasty rok, wziął go Józek Bachleda Księdzu-

²⁶⁾ pobiegnij. ²⁷⁾ poganiacz.

larz z Bachledów za honielnika, na halę Kondratową. Jego za honielnika i Jaśka Pudrasowego za juhasa. Kiedy przyszedł czas, zegnali owce i krowy dzianiskie prosto w dół przez Butorów. Szły za nimi długo baby i chłopcy patrzeć, jak się kierdel posuwa. Nic dziwnego, cała ich chudoba szła przecie w tym kierdelu. Nie wiadomo, co się tam może stać. Albo niedźwiedz ubije, albo się tam która jarka skielźnie z upłazu w dół, albo nogi połamie, w nagłym owczym lęku uciekając. Albo się straci w turniach Giewontu, że ani do niej dojdzie, ani znajdzie.

Szedł sobie Franuś „siumnie” z kierdelem, w białych „portkach” góralskich z parzenicami²⁸⁾, w opasku, w koszuli wygotowanej w tłuszczy, w serdaku po ojcu, za wielkim, ale ciepłym, w kłobucku²⁹⁾ z piórkiem. „Zbyrcał” ciupagą. Tórbkę miał przewieszoną przez ramię, w tórbce jadła trochę, składak, igły, nici, grzebień żelazny, co tam jeno na hali potrzeba. Szło za Frankiem spojrzeńce matczyne, kochające a lękliwie. Niosła go za kierdelem radość nowego życia. A dopiero, gdy się razem z bacą „stretli”³⁰⁾ pod regłami, kiedy się owce zbiły w jedno wielkie stado, turlikające dzwoneczkami, kiedy zagrały trombity juhasów, kiedy zaśpiewały juhaski - krowiarki, kiedy się to odbiło od ściany Giewontu długim radosnem echem... Ej świecie!

Pierwszy raz w życiu zbliżał się Franuś do Tatr. Odżyły na dnie duszy wspomnienia bająć wędrownego nauczyciela. Wchodził w ten nowy świat z radością i lękiem. Otworzył się przed nim prastary, osędziały bór. Weszli na Kondratową halę. Pod kilkusetletnim smrekiem, niemal przytulonym do jego korzeni, stał stary bacowski szałas. Czarny od dymu, opuszczony, z otwartymi przez wściekle jesienne i zimowe wichury drzwiami, patrzył swem jedynym pustym okiem w świat. Podszedł ku niemu baka. Poważnie i uroczyście zdjął z troków końskich małe zawiniątko w białej szmatce. Wysupiał z niego garść ziela święconego, podpalił i okadził węgły szałas i jego wnętrze. Aby Złe, co gazdowało tutaj w zimie, poszło precz. Przeżegnał krzyżem świętym trzodę i ludzi.

Na hali rozpoczęło się życie. Naprawiono szałas, którego dach ugiął się pod śniegami tej zimy, zniesiono żerdzie na stragę³¹⁾, ułożono pucierę³²⁾ i obonki³³⁾, gdzie trzeba, na jadwidze³⁴⁾ zawieszono wielki kocioł miedziany na żętycę³⁵⁾. I rozpalono watrę, która nie miała wygasnąć, aż pod jesień Popod zrab szałas, aby go nie lizał płomień watry, nakładzono skrzyżali, nakładzono wielkie kłody drzewa. Niebieską smugą wypłynął nad dach dym. A wszystko czynili pod pieśń dziwną, surową, co nim wywoła echo, sama jest echem.

Uwijał się i Franek. Bo to z owcami w pierwszy dzień nie łatwo. Nim się je pozna, nim się one ze sobą poznają, kłopotu dość. Ta chce tu, tamta tam, dobrze, że był Dunaj, owczarski pies Luptak⁶⁾, mądry, ba, mądrzejszy, jak niejeden honielnik. On wiedział, co i jak trzeba. Rozpo-

²⁸⁾ ozdoby wyszywane na spodniach. ²⁹⁾ kapeluszu. ³⁰⁾ spotkali. ³¹⁾ miejsce podaju owiec. ³²⁾ kadzie na mleko. ³³⁾ beczułki, służące do transportu mleka. ³⁴⁾ jadwiga — drąg, na którym wieszka się kocioł, w kształcie litery (S). ³⁵⁾ mleko owcze. ³⁶⁾ rasa pochodząca z Luptowa na Słowaczczyźnie.



...podpalit i okadzil węgly szałasu...

częło się życie na hali. Zrazu honielnik przy juhasie chadzał. Trawy dołami było w bród. Perciami ³⁷⁾ leśnemi, co się popod las kapryśnie wija, wyżej i wyżej, raz po pod Giewont między kosówki ku Piekielku, gdzie bije żywa zimna woda, raz ku Kondratowej przełęczy, tó znów na Czerwone Wierchy, gdy trawy w dole brakło. Tu się Frankowi otworzył dopiero świat. Jak wstęga srebrno błękitna podniosły się ku niebu Tatry: Świnnica, Granaty i baca nad niemi—Krywań. Tu się mu pierwszy raz założyła nad głową orzeł. U stóp uciekały wdół zbocza, pokryte kosówką i błękitniała dolina Cicha, z dna której brylantowo przeświecał potok, niosąc swój szum wraz z wiatrem. Tutaj się Franek napatrzył, nacudował światu. I tutaj, legnąwszy w modrych gencjanach, żapaczył się w niebo i pomyślał: — Ej, teraz to mi się wej powinno otworzyć niebo.

Nie otwarło się. Jenó obłoki płynęły od Krywania srebrzyste, wzdęte na pogodę. Innym razem chodzili przez bujne ferecyny ³⁸⁾ popod Suchy Grzbiet Giewontowy. Patrzyli razem z juhasem, zawieszeni na ostrej grani Suchego, w dół ku Strążyskom ku Białemu. Strach, jak te ściany lecą „naremnie” ³⁹⁾. Kocie łapki, szarotki po nich rosna. Nie raz, nie dwa zaholifil ⁴⁰⁾ sobie Franek: „Mamo!” Kiedy już poznał wszystkie perci, kiedy się obeznał z owcami, jak na nie gwizdać, aby stanę-

³⁷⁾ ścieżkami. ³⁸⁾ paprocie. ³⁹⁾ gwałtownie. ⁴⁰⁾ krzyk podobny do przeciągłego przyspiewu.

ły, zaś żeby ruszyły z miejsca, jak unikać staczania się kamieni i jak się głosić innym honielnikom i juhasom. Gdy trawy były już bardzo dołem spasione, rozdzielił baca kierdel i przydzielił Frankowi część. Franków juhas poszedł het w Goryczkowe, Franek w Suchy Grzbiet i Giewont. Strasznie mu teraz było dobrze samemu. Czuł się i nosił, jak sam baca — Księdzularz. To przystanął i ogarniał okiem świat, to owce przeliczył, to je pognał gwizdaniem ostrem wyżej w upłazy i półki. Dobrze było w pogody. Ale kiedy przyszły dni beznadziejnie szare, z ustawicznym drobnym mżącym deszczem, a mgły gęste i ciemne, wtedy była bieda. Ziąb przenikał przez starą ojcowską wytlaną cuchę, do kości. Strach przed czemś, co się w tej mgle kryło, pędził chłopca pomiędzy owce. I lęk, żeby się która nie zgubiła, nie straciła w tej siąpanicy i mgle. Zmarznięty, dopiero w szałasie przy wiatrze tajał. W sinych splekanych rękach trzymał wielki czerpak gorącej żętycy, nogi bose niemal do watry wkładał. Uśmiali się dość z niego juhasi.

W jeden taki dzień ponury, w którym spadł spóźniony śnieg czerwcowy, straciła się Frankowi owca. Najgorsza. Zawsze bowiem bokiem chodziła, zawsze się gdzieś traciła. Zrazu myślał: Nańdzie sie. Zagwizdał raz i drugi, zbił owce w kierdel, przeliczył, „chybiało” mu jednej. Poszedł szukać. Przystawał chwilami, nasłuchiwał, owca miała dzwonek, „może sie da słysiec”. Zdawało mu się, że wyżej usłyszał turlikanie. Wspiął się na półkę wysoką i spadziłą, śliską od świeżego śniegu. Ani śladu, ani znaku. Znow nasłuchiwał. Milczenie! W gęstej mgle nie widział nic, w skroniach od strachu i wysiłku huczała krew, serce mu skoczyło do gardła. I znow mu się zdało, że gdzieś wyżej niesie się turlikanie. Wspiął się wyżej, coraz wyżej. Czuł, wiedział, że bezdrożem idzie. I spadł na niego lęk, jak orzeł na jagnię.

Coś się czało popod skały i zniknęło. Dzwoniło tu, dzwoniło tam. Przeżegnał się Franuś — i ustało. Ale jak tylko z miejsca ruszył, dzwoniło znow. Zaczął krzyżeć. Głos tonął we mgle, jak w sianie. Przeskakiwał, siadał na przełazach, staczał się i podnosił. Nie wiedział już, gdzie jest, z tej, czy tamtej strony grani. Zimny deszcz mroził mu pokrwawione ręce. Gorący pot zalewał ciało. Z wysiłku mgła zasłaniała mu coraz bardziej oczy, nogi drżały, serce waliło, jak młot. Zsunął się raz, drugi po płytach zaśnieżonych, aż wreszcie poczuł, że traci siły i rozum i że spada w otchłań. Odbił się raz i drugi ciałem od płyt, zahuczczą za nim lawina kamieni, zawirował w oczach świat...

Zrobiło się cicho.

Kiedy się ocknął, był już odwieczerz. Musiał przejść wiatr, bo się rozdarły mgły i słońce chowało się właśnie za Gubałówkę, za Butorów. Franuś leżał cicho. Nie miał siły ruszyć głową, uchodziła z niego żywa krew. Widać, ześlizgnął się po płytach i żlebach, nie rzuciło nim w powietrze, jeno się jakimś cudem zatrzymał na piargach⁴¹⁾. W głowie huczały mu dzwony.

⁴¹⁾ drobne kamieniami, usypujące się żlebachmi.



...pochyliła się nad nim...

— Kany tyz ta moja jarka? — wyszeptał. Dźwignął z trudem głowę. Nad sobą miał czarne, obwisłe sklepienie groty, u stóp przepaść. Spróbował dźwignąć się na nogi — nie mógł. Po usuwającym się piargu wolno jął pełzać ku grotcie. Nie miał już sił, gdy wreszcie legnął pod sklepieniem. Paliło go pragnienie i zapadł znowu w głuchy bezwład.

O jakiejś porze ocknął się. Zdawało mu się, że owce zberczą. Ale oczy nie widziały nic, jeno otwór groty zalany niebieskim światłem. Nad Tatrami płynął zimny seledynowy księżyc.

Jeszcze przez myśl Franusiowi przeszło, jak on to bacy odda tę jarkę⁴²⁾, jakże on ją odda i co „mamusia powiedzom”.

Zapłakał ostatniemi, jakie mu zostały — łzami. W dreszczach gorączki i płaczu zwidziała mu się matka... jak przedzie len, przy oknie, len cudzy.

Nagle wewnątrz groty rozjaśniło się światłem mocnym i niezmiernym. Ozwały się znów dzwony dalekie i w tej jasnej poświacie spłynęła postać blada i zwiewna, jak sen. Powietrzem się niosła. Rączki białe i drobne, jak lilje, wyciągnęła ku Frankowi, pochyliła się nad nim, przysiadła obok, skrwawioną jego głowinę podniosła i na sercu oparła. Franuś nie wiedział, jak mu jest. Słodko i cicho. Chciał się

⁴²⁾ jarka — roczna owca.

wyżalić, że owcę stracił, że się potłukł, spadając, że głodny i że sił już nic nie ma.

Drobne rączęta gładziły rozbitą głowę.

I nagle wspomnił sobie Franuś, co mówił wędrowny nauczyciel Wojciech. Dźwignął się jeszcze raz, popatrzył w przenajsłodszą twarz, aż oddech utracił. Drżącymi ustami wyszeptał:

— Nie będę Cie już nigdy rzeźbił... Ma-ry-jo!

I umarł.

Po długich długich latach znaleziono grootę w Giewoncie, a w grocie starą cuchę i ciupagę i garść kosteczek.

Długie, długie lata wysiadywała latem na polanie stara matka, która czekała, czy się też jej Franuś, rzeźbiarz Matki Boskiej, wróci.

I nie doczekała.



W P O G O D Ę.

Hej, w pogodę, w pogodę
poszły dzieci nad wodę,
a że ciepła jest taka,
dalej w nią na bosaka!

To je bawi chłód miły,
to zerwany znów kwiatek.
Wreszcie w wodę spuścili
piękny, nowy swój statek.

Pływa statek ten zcicha
uwiązany na nici.
To go wietrzyk popycha,
to go fala pochwyti.

Z brzegu na brzeg przewożą
listki, kwiatki, różności.
W drodze fale mu grożą.
Co tu śmiechu, radości!

Tu jest płytko, bezpiecznie,
można chodzić dokola.
I tak bawią się grzecznie,
aż je mama zawoła.

C. L. FALKOWSKA.



O PIESKU ŁAKOMCZUCHU



7)

NOWA ARKA NOEGO.

Napisał Mieczysław Krzepakowski.

W laboratorium chemicznym ślęczeli chemicy; przez poczekalnię ambulatorjum lekarskiego przewijało się wielu pacjentów, cierpiących szczególnie z początku z powodu jednostajnego pożywienia. Zupełnie udany samochód, zbudowany w coraz wspanialej rozwijającym się warsztacie mechanicznym, lub samolot pana Rowińskiego niejednokrotnie przewoził lekarzy do osób, które uległy wypadkom przy przewozie różnych materiałów, odnajdowanych w różnych połaciach zniszczonego kraju.

Długie miesiące zimowe zahamowały prace. W każdym razie mrozy nie zaskoczyły ludzi: kto nie miał palta, otrzymał ciepły płaszcz, tkany z włókien wodorostów. Posiadaczki futer twierdziły, że płaszcze te są brzydkie, ale kobiety, które się w nie ubierały, odpowiadały, że płaszcze „wodorostowe” są za to modne!

Znaczna grupa ludzi w okresie zimowym ograniczyła swą pracę. Byli to szczególnie południowcy, nie przyzwyczajeni do surowszego klimatu stref umiarkowanych. Jako ludzie, posiadający żywszy temperament, nie mogli usiedzieć spokojnie i zaczęły się wtedy objawy niezadowolenia. Zaczęli się oni coraz głośniejsze domagać przeniesienia się bardziej na południe i wręcz oskarżano pana Rowińskiego, że to on właśnie nastawał na zakładanie osady w miejscu lądowania, bo tu dawniej był jego kraj.

Nie było to prawdą, ale doszło do ostrego wybuchu. Niezadowoleni obwieścili, że z nastaniem wiosny zabiorą część dotychczasowego dobytku osady „Ocalenia” i udadzą się na południe, gdzie gleba jest bogatsza i łatwiej jest wyżyć. Wreszcie porzucili zupełnie pracę, twierdząc, że nie warto im trudzić się dla tych, którzy pozostaną.

Dopóki ograniczali się do zapowiedzi, kierownicy „Ocalenia” nie zwracali na nich uwagi. Kiedy jednak nie chcieli pracować, nie można było dopuścić do tego, by inni pracowali na nich. Z drugiej strony, choć niezadowolonych było mniej, domagali się oni uszanowania swych życzeń.

Nad osadą zawisła groźba rozdwojenia i niezgody. Byli tacy, którzy żądali użycia siły, by podporządkować większości „buntujących się”, przeważał jednak głos rozwagi i spokoju.

Po szeregu, początkowo burzliwych zgromadzeń, zapadła uchwała, że dopóki „niezadowoleni” przebywają razem, muszą wykonywać to wszystko, co inni. Natomiast, kiedy będą opuszczali osadę, pozostali ułatwią im wyprawę na południe, jak tylko będą mogli.

W okresie namiętnych sporów „Niezadowolonych” z „Zadowolonymi” pojawiły się odrazu dwa czasopisma. Jedno i drugie było odbijane na odpowiednio przyrządzonej żelatynie, dostarczonej przez chemi-



Po szeregu burzliwych początkowo zgromadzeń, zapadła uchwała.

ków, czyli na zwykłym hektografie. Oba pisma toczyły gwałtowne spory, omawiały argumenty za pozostaniem w osadzie i za jej opuszczeniem. Nie przestały też obydwie pisma toczyć sporu mimo zapadłej uchwały i niewiadomo, jakby długo to trwało, kiedy nadeszła wiosna, a wkrótce wieść o odkryciu pokładów węgla. Ruda żelazna znaleziona była już wcześniej w wielkiej obfitości, teraz jednak dopiero odpadł najważniejszy argument „Niezadowolonych”, że w osadzie nie da się odtworzyć dawnej cywilizacji, opartej na węglu i na żelazie. Ropa naftowa znaleziona coprawda w dość znacznej odległości w czasie wyprawy lotniczej pana Rowińskiego z jednym z geologów — dopełniła zwycięstwa „Zadowolonych”.

Minęła wiosna, a „Niezadowoleni” jakoś nie wybierali się na południe. Drwiąco wypytywał ich o to „Głos Zadowolonych”, na co otrzymał poważną i rzeczową odpowiedź w „Opinji Niezadowolonych”: lepiej odłożyć wyprawę na później, kiedy odkrycia złóż węgla i źródeł ropy naftowej zapewnią wyprawie powodzenie i znakomicie zmniejszą jej trudy, a przede wszystkim pozwolą wyruszyć na morze „Splendidi”.

Dokończenie nastąpi.

L I S T.

Napisała Z. Gerwatowska.

Zakończenie roku szkolnego, tych długich dziesięciu miesięcy pracy i nauki, ale i wielu psot i miłych figlów.

W słonecznej sali szkolnej pani z uśmiechem rozdaje dzieciom cenzurki. Jedne całuje z zadowoleniem w główki, zachęca do dalszej wytrwałości w nauce, innym coś tłumaczy, lub pociesza je serdecznie.

Już oceny roczne rozdane. Za chwilę będzie popis, a więc śpiewy, tańce, muzyka.

Prawie wszystkie dzieci mają buzie rozjaśnione i uszczęśliwione, bo to przecież lato, wakacje, swoboda, zabawa!

W góry, w góry, miły bracie,
tam swoboda czeka na cię!

wyspiewuje sobie Janek.

Wandzia zaś mówi do koleżanki: — Za kilka dni pojadę na wieś, do babci. Tam tak ślicznie. Będę zbierała grzyby, jagody...

Jedna tylko Małgosia usiadła w kącie na ławce i taką ma smutną minkę, taką smutną...

Zimą chorowała, opuszczała lekcje, więc cenzurka nie jest zadowolająca — to jedna przykra rzecz.

A druga — tatuś jest bezrobotny, coraz większa bieda w domu, więc dziewczynka nigdzie na wieś nie pojedzie, tylko przez całe lato musi bawić się na tem brzydkim, szarem, kamiennym podwórku, gdzie rosną tylko dwa stare kasztany, a słońca niema wcale.

Zwierzyła się wkońcu Wandzi ze swych zmartwień.

Wandzia główką pokiwała, popatrzyła, ale cóż na to poradzić? A jednak... ej, trzebaby coś obmyśleć!

Po tygodniu listonosz puka do skromnego mieszkanca. Podaje białą kopertę. To list do Małgosi.

Na adresie zupełnie, jak do dorosłej osoby: „Wielmożna Panna Małgosia...”

Dziewczynka rozrywa kopertę z ciekawością i czyta, czyta, a oczom nie wierzy...

„Kochana Małgosiu! Już nie martw się, droga koleżanko, bo i Ty pojedziesz na wieś. Moja Babcia zaprasza Cię do siebie. Będziemy razem dokazywały. Pomogę Ci także trochę w nauce. Oczekujemy Cię z niecierpliwością! Kochająca Cię

Wandzia.





Fot. Keystone.

PRACA MURZYNÓW W KAMIENIOŁOMACH.

TAJEMNICA HOGGARU.

40/41)

Napisał L. Życki-Małachowski.

Góra zawierała pokłady złota i tylko od dalszych badań zależało, czy warto je eksploatować, czy też to się nie opłaci ze względu na zbyt nikłą ilość cennego kruszcu. Tak czy owak należało drogę przebijać w dalszym ciągu, jednakże, żeby nie powodować niepotrzebnych strat, kazał Zadora użyć do rozbijania skał specjalnego dynamitu, który kruszył je, nie rozrzucając odłamków. Kazał też wszystkie odłamki skał, pochodzące z eksplozji, przynosić do doliny. Jednocześnie wydano telefoniczne polecenie inżynierowi Grzelakowi natychmiastowego budowania wszystkimi, stojącymi do dyspozycji siłami, drogi nadbrzeżnej w kierunku doliny.

Gdy tak praca wrzała w całej pełni, w dolinie odbywała się wzruszająca uroczystość. Oto po tylu latach rozłąki z ludźmi i cywilizacją, więźniowie gór wracali do społeczności ludzkiej i odziewali się w przysłane ubrania, aby zasiąść do wieczerzy i zjeść prawdziwego chleba. Pan Łamicki przewodniczył tej uroczystości, opowiadając o zmianach, jakie ich czekają przy powrocie do świata. O przekształcaniu się Hoggaru w kolebkę przyszłej kultury saharijskiej, o nawadnianiu dolin i osadzeniu w nich głodujących dotychczas na pustyni plemion, o budowaniu fabryk, szos i t. p.

Durand przekładał słowa inżyniera na język miejscowy, zwany „tamaszek”, to też raz po raz odzywały się okrzyki zdumienia.

Tej nocy w dolinie nikt nie spał, nie wyłączając Telesforka, który nigdy łóżkiem nie gardził, lecz wszyscy przykładali ręki do zbudowania drogi, łączącej świat zaginionych z ludźmi. Praca szła dzięki temu zapałowi pośpiesznie, zwłaszcza, że inżynier Grzelak wziął do niej ze swej strony niedawno sprowadzoną maszynę do kruszenia skał.

O godzinie szóstej rano skała uległa i zrobiony z obu stron otwór był tak duży, że mogła się przezeń przecisnąć jedna osoba. Uczynił to naturalnie Telesforek, który począł się z wylaniem ścisnąć ze wszystkimi, jakby ich lata całe nie widział. Wieść o zaginięciu chłopca już się rozniosła po osadzie i amenował Ali przybył natychmiast na miejsce, by sprawdzić prawdziwość tych pogłosek. Polubił on chłopca bardzo, więc się ucieszył ogromnie, dowiedziawszy się, że mu się nie przytrafiło żadne nieszczęście, lecz jeszcze stał się wyswobodzicielem ofiar ponurej sekty „zczycieli wody”. Ali, dowiedziawszy się przez telefon, że żyją jego wierni towarzysze wyprawy oraz nieznany mu wuj, brat jego matki, o którym opowiadano mu dawniej, jako o człowieku niezmiernie mądrym i dobrym a który rzekomo miał zginąć, zbłądziwszy w pustyni, całą noc pracował, jako prosty robotnik nad budową drogi. Był też pierwszym, który powitał Telesforka przy gotowym przejściu.

Chłopiec opowiedział amenokalowi o swych przeżyciach i o znalezieniu pokładu złota. Ali słuchał wszystkiego tego ze zwykłą, pełną dobroci powagą. Jednakże wzmianka o złocie wzburzyła go ogromnie. Chwycił chłopca powtórnie w objęcie i począł całować. — Niepodległość Sahary już nie jest tylko marzeniem! — zawołał.

Przez ten czas przejście tak rozszerzono i uporządkowano, że można było swobodnie chodzić między doliną a jaskiniami.

Wkrótce wszyscy zmęczeni całonocną pracą udali się na spoczynek, jedynie Telesforek siedział jeszcze długo przy ognisku, pisząc listy do mamusi, Wandeczki i, co nie będzie bez znaczenia, do Fatmy!

Dokończenie nastąpi.





Fot. Photo Plat.

BAŁTYK.

Z CAŁEJ POLSKI.

Poniżej podajemy Wam wierszyki Adama Chętnika z myślą, że zadeklamu-
jecie je na zakończenie roku szkolnego, a każdy deklamator czy deklamatorka spo-
rządzi sobie stosowny strój, to znaczy taki, jaki noszą w okolicy, o której będzie
dana deklamacja.

KRAKOWIACY.

Niemasz ludu nad Krakusów!
Toć w nich życie i ochota,
czy przy pracy, czy to w tańcu,
a zaś serce, jak ze złota!
A gościnność jaka wszędy,
a w pomysłach każdy chwacki!
Ich sukmanę wdział Kościuszko,
stąd pochodził i Głowacki.
Kto nie widział kierezyi,
lub pasika z pod Proszowic?
A wesela kto chce użyć,
niechaj jedzie do Bronowic!
Lubi każdy ten lud dziarski,
bo w nim dusza szczerza taka...
W całym kraju młodzież tańczy
tak skoczno krakowiaka.

W ŁOWICKIEM.

A nad Bzurą, tam gdzie Łowicz,
żyją barwni Łowiczanie.

Tych księżaków wszędy poznasz
po ich stroju i sukmanie.
Lud to zdrowy, pracowity,
i pobożny, i wesoły,
i gazety lubi czytać,
i zapełnia w miastach szkoły.
Gdy chcesz poznać lud księżacki,
bądź w Łowiczu w Boże Ciało,
lub idź na ślub, gdy „koronę”
panna młoda ma wspaniałą.
Przed kościołem — istne tęcze,
lud, jak kiście z pszennych snopów.
Nic dziwnego, że w tych wioskach
Reymont tworzył, pisał „Chłopów”.

TATRY I GÓRALE.

Za Krakowem mgły sinawe,
coś się wznosi ponad chmury:
toć to Giewont, śpiący rycerz,
to są Tatry, nasze góry.
Co za dziwy na Podhalu:
wielkie skały, piękne groty,

cud nad cuda — Morskie Oko,
 a po drodze wodogrzmoty.
 A na skałach limby, smreki,
 turnie śniegiem bramowane,
 w halach stada trzód, juhasów,
 a w dolinie Zakopane.
 A Górale — górszy ludzie:
 na kark guńki, w garść ciupagi,
 lud to bystry i rozmowny,
 ma dość hartu i odwagi.
 Przez dzień cały rąbie w lesie,
 a gdy trzeba — w góry pnie się,
 a jak zajdziesz do Morskiego,
 to zatańcz „zbójnickiego”.

GÓRY ŚWIĘTOKRZYSKIE.

Piękne góry Świętokrzyskie,
 nagie skały, jak łysiny,
 u podnóża jest schronisko
 w wiosce świętej Katarzyny.
 Na wierzchołku Łysa Góra,
 gdzie czarowne tańczą kręgi,
 w górach klasztor Świętokrzyski,
 co przechodził różne ciężki.
 Wkoło lasy, pełne dziwów:
 buki wielkie i potężne,
 tu kryjówki były zbójców,
 tu zdążyły hućce mężne.
 Do klasztoru idzie pielgrzym
 na kolanach całe lata,
 a jak dojdzie już do celu,
 to nastąpi koniec świata.

ŚLĄSK I ŚLĄZACY.

Idźmy dalej — aż nad Odrę,
 i nie róbmy dziwnej miny:
 ten las wielki to nie drzewa,
 to fabryczne są kominy!
 To Śląsk Górny, a te grzmoty —
 to fabryczne kują młoty.
 Wszędzie łoskot, świsty, ryki —
 to kopalnie i fabryki.
 Dym i ogień, jakby w piekle,
 a syreny wyją wściekle,
 a ci ludzie, co przy pracy,
 to są nasi, to Ślązacy.
 Dzielnym lud to: on że sprawił,
 że Śląsk Niemiec pozostawił,
 że przez rany, poprzez blizny
 do swej wrócił do ojczyzny.
 Przez sześć wieków kraj ten wielki
 był w niewoli — doła sroga!
 Dziś Śląsk polski, choć nie cały,
 część została w rękach wroga.

NA KUJAWACH.

Ziemia tęga a plon taki:
 wkrąg pszenica i buraki!

Chleba, cukru tu nie zbraknie,
 tylko lasu dusza łaknie...
 A zajrzyjmy do Kruszwicy,
 gdzie nad Gopłem wieża stoi,
 gdzie Popiela myszy zjadły.
 Tak się kończy, gdy kto broi...
 Tutaj było Lecha gniazdo.
 Gopłem statki żeglowały,
 tutaj mieszkał Piast - kołodziej,
 stąd się zerwał Orzeł Biały
 i rozwinął swoje skrzydła
 ponad Polską, ponad całą,
 a już jest przez tysiąclecie,
 naszym godłem, naszą chwałą.

MORZE I KASZUBI.

Szumi wicher, pędzi fale,
 piętrzą w górę się bałwany,
 mkną okręty z Białym Orłem —
 toć to Bałtyk nasz kochany!
 Na wybrzeżu lud kaszubski,
 tęgi rybak w każdej porze.
 On to ostrzegł nam dziedzictwo,
 które zwiemy „polskie morze”.
 On to bronił polskiej mowy,
 z Niemcem toczył bój zacięty,
 a gdzie mowa, tam i wiara,
 tam obyczaj polski, święty.

NA PODLASIU.

A za Bugiem kraj nie byle:
 tam Podlasie i unicy,
 co za wiarę swoją świętą
 od Moskali byli bici!
 Krew się lała po kościołach,
 naród cierpiał męki srogie
 i odetchnął, gdy precz poszły
 knutowładcze siły wrogie.
 Dziś tam spokój, bo nad krajem
 już wolności błysły zorze...
 A w kościołach odebranych
 znów rozbrzmiewa „Święty Boże!”

NA KURPIACH.

A na Kurpiach już inaczej:
 duże lasy, ciemne bory,
 piaski, bagna, puszcze gęste
 i do strzelby Kurpik skory.
 W kniejach dawniej zwierz był srogi:
 wilki, tury i niedźwiedzie,
 w wodach ryby, w barciach pszczoły,
 człek nie dawał się tu biedzie.
 A i z wrogiem nieraz walczył:
 znali Kurpiów Ruski, Szwedy,

a Stach Konwia — wódz puszczański
napędził im nieraz biedy.

Pod Myszyńcem dawne stroje:
barwne, piękne, nie dziwota!
Co za kitle, co za czółka,
a bursztyny, jak ze złota!
A ochoty co w tym ludzie!
Niech „maryna” zabrzmi jaka,
Kurp wykręca obertasa,
lub tańcuje „powolniaka”.

PUSZCZA BIAŁOWIESKA.

A gdzie Narew, skąd jej źródła,
(co na mapie krzywa kreska) —
tam sinawe bory wielkie,
to już puszcza Białowieska!
Co tu drzewa, jakie dęby,
jak olbrzymy stoją stare:
klony, świerki, grab i sosna —
wszystko rosło ponad miarę.
W puszczy knieje i ostępy,
a w nich silny, pewny siebie
zubr brodaty, król tej puszczy,
co racicą z gniewem grzebie.
A co dzików i jeleni!
Jest i pałac wśród zieleni,
co podwoje swe odsłania
na królewskie polowania.
Ej że, puszczo, szczerbił ciebie
wróg niejeden poprzez lata,

a ty rośniesz niebotycznie,
że podziwia cię pół świata.

NAD ŚWITEZIĄ.

Na północny wschód Warszawy,
gdzie część Polski malownicza,
nowogródzkie leżą strony,
to zakątek Mickiewicza.
Tutaj Świtez — cud jezioro.
Przy księżycu nocnym blasku,
zda się, duch tu gości Wieszcza
w każdej kniei, w każdym lasku.
Tu poety ojcowizna,
tu dojrzała wielka dusza,
tu dziecinne lata spędził
twórca „Pana Tadeusza”.

NAD DNIESTREM.

Lecz jedziemy na południe,
gdzie tak słońko świeci cudnie,
gdzie wśród jarów Dniestr nam płynie,
gdzie krzew winny i brzoskwinie.
Ten kawałek Polski ciepłej,
gdzie krajobraz w jarach dziki,
to są kresy południowe,
a w nich miasto — Zaleszczyki.
Toż Pokucie i Huculi:
lud to zdolny i wesoly:
W polu rośnie kukurydza,
wozy ciągną siwe woły.

Adam Chętnik.



KIEDY NIEMA GOSPODYNI...

Kiedy niema gospodyni,
ruch się wielki w izbie czyni.
Dzwonią miski i garnuszki,
cukier wyskakuje z puszeki,
miotła się wysuwa z kąta
i udaje, że się krząta,
brzęczą łyżki i widelce
ze swobody rade wielce.
Na kominie ogień bucha,
trzeszczy w ogniu gałąź sucha,
a groch gotowany w zupie
podskakuje, że aż chlupie!
Zegar dziwną pieśń wydzwania,
mleko wzdyma się jak bania

i przed rondlem wciąż się chwali,
że wnet pięknie się przypali.
Podskakuje kubek stary,
w środku izby tańczą śmiecie
i drygają okulary
porzucone na gazecie!

A gdy wraca gospodyni,
wnet się cicho w izbie czyni!
Wszystko tłumii w sobie życie,
każdy czmycha w swoją stronę,
tylko na kuchennej płycie
pachnie mleko... przypalone!

J. GILLOWA.

GOTOWANIE.

Dzieci lubią się przecie bawić w „kuchnię”, w „gości”, w „bal” i t. d. — Czemuby więc nie spróbować, zamiast gotować „na niby” — ugotować coś naprawdę. Wiele jest potraw łatwych, które można przyrządzić tylko z wytworów przeciętnego gospodarstwa wiejskiego.

Zabierając się do gotowania, trzeba najpierw uzyskać na to pozwolenie mamusi, obiecać porządne posprzątanie zabrudzonych statków. Przystąpić do rzeczy z czystymi rękoma, w chusteczce na głowie i fartuszk.

Np. takie rabarbarum rośnie prawie w każdym ogródku, do jedzenia używa się łodyżki i grubsze nerwy liści.

1) *Żupa* — ½ kg. pokrajanych łodyg bez liści obciągnąć z wierzchniej skórki, zalać wodą i rozgotować, dodać do smaku cukru (około ¾ szklanki) i skórkę z jednej cytryny. Zaprawić kwaterką śmietany. Można jeść zarówno na zimno, jak i na ciepło.

2) *Kompot* nieoceniony w upały. ½ kg. obciągniętych i pokrojonych łodyg rabarbarum rzuca się na 2 kwarty wrzącej wody, w której rozpuszczono szklankę cukru. Gotuje się 5 minut.

3) *Sok* do wody bardzo orzeźwiający. ½ kg. rabarbarum obciągamy ze skórki, krajemy na kawałki i gotujemy w litrze wody w dodatkiem skórki cytrynowej i 1/8 kg. cukru. Następnie płyn cedzimy, zlewamy do butelek, korkujemy i wyносimy do piwnicy. Kieliszek tego soku na szklankę wody daje jej wyśmienity kwaskowaty smaczek.

M. S.



JAK JAGUSIA CHLEB PIEKŁA.

Rozczyniła matuś chleb z wieczora,
postawiła koło pieca dzieżę,
przykryła ją, jak należy...
A na rano matuś chora:
jęczy i stęka:
— Oj nie władam nogą, ani ręką!
Cóż z tym chlebem będzie, Jagienko?

— Ha! wezmę dzieżę na ławę
i zawinę rękawy,
chleb przyczynię, wyrobię,
niechże rośnie sobie!
Krzyżem pięknie naznaczę...

Niech - no matuś zobaczy!
Wszystko tak, jak należy.
Zaraz będzie chleb świeży!

Teraz napalę w piecu,
równo ułożę drewnienka,
na wierzch grube, pod spód cienie...

Już Jaguś ogień roznieca!
Już z pieca żar bucha!
— Słuchaj-że, córuś, słuchaj,
węgle równo rozgarnij
na calutki piekarnik,
potem omieść go trzeba,
by czyściutki był chlebek.

— Teraz liście klonowe,
o jesiennej porze
zbierane,
co je matuś chowa
w komorze,
na topacie drewnianej ułożę...
Jakie piękne bochenki!
Hej! gosposia z Jagienki!
Jest już chlebek gotowy:
czarny, świeży, razowy!

J. MAJEWSKA.





ROBOTNICZY PRZEBIERAJĄ I WAŻĄ LIŚCIE HERBACIANE NA CEJLONIE.

O SPOŻYWANIU OWOCÓW.

Szybkiemi krokami zbliża się do nas lato, a wraz z niem obfitość owoców. Owoce są bardzo zdrowe i posilne, to też powinny być w jak największej ilości spożywane. Pamiętać jednak należy, że czasem można swemu zdrowiu, zamiast pożytku, zrobić wielką krzywdę. Pod żadnym pozorem nie należy jeść owoców, które nie są zupełnie dojrzałe. Wszelkie zgniłe owoce są dla zdrowia bardzo szkodliwe. Nie należy również jeść wiśni i czereśni z pestkami, bo ich żołądek nie trawi i można się z tego nabawić choroby.

Owoce, zrywane we własnym ogródku, mogą być jedzone nie obierane i nie myte, ale wszystkie owoce kupne powinny być bezwzględnie myte w gotowanej czystej wodzie z trochę mydła i doskonale osączone. Inaczej można zjeść z wiśnią czy truskawką jakiś zarazek, który potem wywoła chorobę. Przecież owoc, nim się dostanie od właściciela ogrodu do tego, co go kupi do spożycia, przechodzi przez wiele rąk. Najpierw dotyka go ten, co go zbiera, potem go pakują, potem jedzie do hurtowni, stamtąd do sklepu — w sklepie często leży nieosłonięty i muchy mają do niego dostęp i t. d.

Jako zasadę przyjąć również trzeba, aby przed każdym jedzeniem dziecko miało ręce umyte.

KASZA Z SOSEM.

Przecież wkońcu zrobiło się ciepło. Toć za kilka dni będą już wakacje. Myśl o lecie, o obozie radością rozpiera serca młodocianych harcerzy. Tolek, Leszek i Witold o niczem innym nie mówią. Projekty płaczą się ze wspomnieniami zeszlorocznymi. Różne przygody, różne przeżycia. Najwięcej śmiechu wzbudzają dziś, smutne wtedy, niepowodzenia gospodarcze.

— Pamiętasz — mówi Tolek, — jakieś nas karmił suchą kaszą przez kilka dni?

— A tyś nas nie raczył kartoflami trzy razy dziennie, gdy była twoja kolej gospodarowania? — odciął się koledze Leszek.

Litanja nieudanych potraw rosła z błyskawiczną szybkością.

— Wiecie co, — zawołał Witold — powinniśmy zapobiec w tym roku tym błędom naszej kuchni obozowej.

— No pewnie — przytaknęli chłopcy, — ale jak? Kucharza nie zabierzemy z sobą.

Ot, poproszę mamusi, by nas nauczyła gotować to wszystko, co z łatwością moglibyśmy przygotowywać w naszej kuchni obozowej. Czemu jeść paskudztwa, gdy odrobina dobrej woli możemy wypełnić luki naszej wiedzy gospodarczej? Porządny harcerz musi starać się wszystko, co musi robić — robić porządnie, a więc skoro przypada nam w udziale gotowanie, czemu nie mamy się i tego nauczyć?

Po zastanowieniu wszyscy się z Witoldem zgodzili.

Przez kilka dni z zapałem pod kierunkiem pani K. kucharowali, notowali przepisy i cieszyli się na myśl, że gdy przyjdzie ich kolej w obozowej kuchni — i na harcerski stół z darniny wyjedzie kasza z sosem koperkowym, to koledzy zdębiają ze zdumienia.

A nie tylko kaszę z sosem koperkowym nauczą się gotować!

J. Kostro.

CHI, CHI, BĘDZIECIE SIĘ ŚMIELI Z FLORCI PORANNEJ KĄPIELI.

Było to w Warszawie wiosennego ranka.
Pachniała już w domu białych bżów wiązanka.
Kaktusik w doniczkę zakwitł kraśnym kwiatem,
a słońce dość mocno świeciło poza tem.
Zajrzał do pokoju promyczek wesoły:
— Halo, wstawaj Florciu,
czas już iść do szkoły.
Ubrała się Florcia w kretonowe fraczki,
uprane przez mamę dla swej jedynaczki.
Wzięła szkolną teczkę i żegna mateczkę.
— Dowidzenia, dziecko,
bądź grzeczna, kochanie.
Masz tam dwie bułeczki z rzodkwią na śniadanie.
Uważaj na lekcjach,
nie żałuj mozołu,

to pojedziesz latem do Kaczego Dołu.
Lecz jeszcze raz mówię mojej pannie Florci,
niech ją jaka psota po drodze nie skorci.
— Dobrze, mamusieczko,
wiem już o tem sama,
będę, jak aniołek,
przekona się mama.
Wyszedł nasz „aniołek” i myśli: — Dzień śliczny,
warto zwiedzić ogród nasz zoologiczny.
Drogę znam wspaniale,
przejdę most Kierbedzia,
zobaczę w ogrodzie słonia i niedźwiedzia.
Zobaczę na skale orła i sokoła,
bo już mi naprawdę obrzydła ta szkoła.
Oto widać ogród, dygu, dygu w prawo,



Z ulubioną kurką